

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.



Lwów, 11 lutego 1847.

Rok ósmy.

Wychodzi co drugi czwartek regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincji dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcji pod nrem 301.; we Lwowie.

M O D Y.

Paryż, dnia 28 stycznia 1847.

Stroje damskie. Z nowym rokiem zjawilo się tu mnóstwo ślicznych, całkiem w nowym guście chustek; nigdy może jeszcze przepych w haftach nie był do tego stopnia doskonałości posunięty, nigdy jeszcze nieprzykładano tyle co teraz starania w wyrabianiu chustek; a to nie tylko tych których wartość przechodzi tysiąc i więcej franków; lecz nawet chustki średniej wartości są z wielką elegancją i starannością wyrabiane. Z niezliczonej ich liczby które zachwycają w tej chwili świat elegancki, wymienimy chustki tak zwane *Mercédès*, *Montpensier*, *Luisa*, *renaissance*, *La Valliere*, z których jedne wyszywane w guście tureckim, inne w kwiaty, inne znowu ścięciem alonsońskim lub weneckim itp.

Z sukien balowych któreśmy temi czasy widzieli wymienimy następujące: suknia z włoskiej kitajki, której spodnica obszyta pięć razy, w zęby wycinane mi szlarkami które na prawym boku podpięte są fontaziami z długimi końcami; stanik gładki, wycięty, kończasty, z białą zrobioną z trzech szlerek wycinanych w zęby, z tej samej co suknia materii, a która na przodzie przypięta także fontaziem z końcami długimi. Suknia z błękitnego adamaszku, obszyta w dole trzy razy szeroką czarną korunką; stanik wycięty i kończasty, układany w fałdy od ramion do szwu środkowego; rękawy krótkie z trzech bufików zrobione i korunką obszyte.

Stroje męskie. Strojem galowym jest frak fioletowego koloru, podszyty białą kitajką i oblamowany taśmą dobranego koloru; kołnierz i wyłogi haftowane jedwabiem; z przodu jest siedm guzików które w górze nie zapinają się, tak aby widać było kamizelkę i żaboty

Kamizelka biała materialna prosto krajana; powinna być tak długa aby ją widzieć można zpod fraka. Spodnie białe kazimirkowe, z podwiązkami i sprzączkami.

Rycina przedstawia: Strój balowy. Suknia gazowa różowym jedwabiem haftowana; stanik kończasty rękawy krótkie; narzutka od wyjścia z balu z różowej kitajki, długa i zaokrąglona z tyłu, z przodu w kształcie wizytki, obszyta dwa razy szlarkami z kitajki krepiną obszytymi; we włosach perły. Biała morowa suknia rozparta z lewego boku na spodnicy z błękitnego atlasu a po obu bokach rozcięta przystrojona girlandami z błękitnego powoju, ubranie z prawej strony składa się z sześciu bufów krepowych przyszywanych w zygzak i bukietami z powoju przypinanego; stanik gładki, z potrójnym szwem, kończasty, obszyty korunką koło gorsu; rękawy krótkie, podpięte bukietem z powoju. Osobno na rycinie: kapelusz axamitny, ubrany ukośno atlasem i lamowany wąską korunką, we środku ubranie także z kornek.

Figura męska przedstawia: strój ranny składający się ze szlafroka na przodzie otwartego, z długimi rękawami które przy rozcięciu są zaokrąglone; poły po bokach są w dole rozcięte i zesznurowane taśmami, które oraz i do obszycia służą.

ŻONA OSZCZĘDNA.

To, kochana czytelniczko, nie o tobie mowa, lecz o twojej sąsiadce.

Już od dawna rozbieram w mojej głowie to melancholijne zagadnienie: ażali modna kolia złota na szyi nie jest tem dla kobiety, czem honorowy znak lub tytuł dla mężczyzny? Czyli uważaliście kiedy, jakim wzrokiem kobieta ubrana w złotą kolie i bogate bransolety spogląda na kobiety inne? Oczy

nieszczęśliwego pretendenta do honorowego tytułu lub znaku nie zapalają się posępniejszymi płomykami przy niespodzianem spotkaniu nowo-ozdobionego. »Jakiś intrygant!« wykrzyknie mężczyzna pogardliwie wzruszając ramionami. »Zkąd ona wzięła tę kolia i te bransolety« powiada ze złośliwym uśmiechem kobieta.

Przystroić goździkiem dziurkę od fraka, wziąć na szyję pozłacaną kolia, a na ręce bransolety brązowe z fałszywymi kamieniami, które mają odgrywać rolę szczerzego złota i dobrej wody klejnotów jest to, rzecz ściśle wzięwszy, bardzo niesmaczny sposób cierpliwego ukołtysania na jakiś czas męskiej lub kobiecej próżności. Tylko na króciuchną chwilę, i to bardzo zdaleka można drugich ułudzić, niema nawet czasu rozpoznać na twarzach przechodzących lekkiego wzruszenia, ani się niem nacieszyć. Jestto tylko błyskawica, a po niej można być pewnym otrzymania z bardzo blizuteńka, bardzo przedłużonego spojrzenia z wyrazem gorzkiej ironii i wzgardy tem mniej ukrywanej, że wydaje się każdemu słuszną karą za śmieszne oszukaństwo. Jakże tu poprzestać na tak dwuznacznem zadowoleniu!

Mąż powraca do domu, w godzinę obiadową, zmęczony, spracowany, kontent że spocznie sobie w gronie rodziny. Wchodzi z twarzą wypogodzoną i swobodną. Żona nie podnosi głowy od roboty, nie patrzy na niego, nie przebąknie i słówka, zaledwie podaje z niechęcią czoło do zwykłego pocałowania. Jest zimna jak lód, on zaczyna być niespokojny, wybaduje: czy nie chorą? Nie. Czy mu się z rana nie wyrwało z ust jakie niesprawiedliwe słowo przykre? Czy ze wsi nie nadeszły jakie nieprzyjemne wiadomości? Nie. Coż więc takiego? Przez cały wieczór, dąsy, nagany, gderania, oznaki niecierpliwości. Czy dzieci były niegrzeczne? Czy służąca nabroiła co lub naplotła? Żadnej odpowiedzi, nic. Choć głowę o mur rozbij. Przyczyna prawdziwa tego wszystkiego jest (ale mąż o tem nigdy wiedzieć nie będzie) że żona ma bardzo ważny powód do zmartwienia: spotkała ona dzisiaj panią D... która nie jest od niej bogatszą, a która jednakże miała na sobie prawdziwe kamienie i modną złotą kolia.

Wystawmy sobie małżeństwo nie zbyt zamożne, w którym te dwie ambicje tytułu lub znaku honorowego i świecideł złotych spotkały się a będziemy mieli wyobrażenie istnego piekła! To dwie dzikie namiętności, które nie wiedząc o niczem xiądz pobłogosławił. Dopóki jedna i druga nie będzie zaspokojona jakimkolwiek bądź kosztem, przez lat może dziesięć wszystkie najczarniejsze troski, małe, wielkie, surowe

śmieszne, oblegać będą bezustannie domowe ognisko, stół, sypialnię małżonków.

Co czynić będzie mąż chorujący na podobną ambicją, to wiecie. Zasłużył on aby jego żonie zachciało się złotych świecidełek... zasłużył nawet i więcej. Nielitujmy się nad nim; zachowajmy politowanie nasze dla człowieka uczciwego bez majątku, bez ambicji, którego żona raz ubrdała sobie w głowie i wbiła w nią jak ćwiczkiem ową zębatą ideę ustrojenia się w kamienie i łańcuszki. Najmniejsze zło wyniknie wtedy, gdy porzucając proźby, groźby, gderania i dąsy, postanowiła nieodmiennie, że odtąd spuści się tylko na siebie i sama oto postara, uciekając się do najgodniejszego ze wszystkich środków i sposobów, do oszczędności. Dopóki nie zbierze sumy potrzebnej do kupienia czego sobie najgoręcej życzy, redukować będzie wydatki domowe do najściślej potrzeby: będzie przedłużać aż do ostatniej nitki życie i tak leniwe starych sukien mężowskich; będzie mu wycierać stary jego kapelusz, aż ten się w wosk przemieni; prześladować jego niewinne zamiłowanie w zbutwiałych starych xiegach, dopokąd o sto kroków omijać nie zacznie sklepików antykwariusza; będzie mu odmierzała skąpą dłonią aż do światła nędznej świeczki »z pod słońca« najgorszego gatunku, którą jeszcze zdmuchnie o parę godzin wprzód, nim mu się spać zechce pod pretekstem, że sobie psuje oczy. Krewny ubogi, przyjaciel w biedzie, ośmiela się żądać pożyczki, prosić o chwilową pomoc: ona wynajdzie tysiąc doskonałych powodów, aby wykazać niepodobieństwo dania mu pomocy. »Czyliżeśmy bogatsi i szczęśliwsi od niego? czyliż nasz byt przyszedł zapewnić? niepowinniśmy przedewszystkiem pomyśleć o edukacji naszych chłopców, o posagu dla naszych córek?«

Co za rozsądek, co za rozważa, jaka gospodarność, jaki porządek! pomyśli w duchu mąż zacieraając ręce od zadowolenia.

Tym czasem droga oszczędności jestto długa i przykra droga. Gdyby raz zniechęciła się do niej kobieta uczciwa? Kto wie, ktoż odgadnie?... Nie, nie będę wchodził w tak głębokie tajemnice. Dość jednego słowa: bądźcie pewni, że tym, czy owym sposobem musi dokonać zamiaru.

Pewnego wieczora mąż zastaje żonę w złotym humorze; przymila się, uprzejma, promienieje od radości, odmłodziła o lat dziesięć. Zaledwie drzwi uchylił, już z uprzedzającą usługą odbiera mu z rąk kapelusz, parasol; ulubiony jego szlafrok już nagotowany. Nie dają mu czekać długo na obiad; ma o jeden półmisek więcej, półmisek z jego ulubioną po-

trawą, a jako ostatnią niespodziankę, pół filiżanki kawy z cykorią. A wszystkie te uprzejmości umilone są jeszcze tak czułymi słowami, słodkimi wybadzaniem, rozczulającą troskliwością.

»Mój luby, cożś robił? Jesteś trochę blady, za nadto pracujesz. Czy nie jesteś cierpiący? Cożby się ze mną stało, gdybyś broń boże zachorował? Trzeba więcej myśleć o mnie, o twoich dziatkach. Trochę więcej pieniędzy, trochę mniej, coż to znaczy? czyż to majątek stanowi szczęście? Kochamy się, to dosyć; nie potrzeba nam nic więcej.«

»Oh! pocziwa, kochana, nieoszacowana żoneczka!« wykrzykuje mąż, który ją pożera oczami, posmakiwując swoją moką cykorią. Serce jego pływa w oceanie rozkoszy.

Wczasy tego żona idzie po kilka razy do toalety, otwiera ją, zamyka, odchodzi, powraca; nareszcie wypuszcza z ust dobrze znajome przedwstępne słowa:

»Ty nie wiesz mój kochany?«

Na te słowa wymówione głosem tak przytłumionym, tak pieszczotliwym, iż zdawałoby się, że to powietrzne nóty, wymknięte z arfy eolskiej, mąż którego te tam i sam spacerować zaczęły już niepokoić, nadstawia czujne ucho.

»Pani J... odwiedziła mnie dzisiaj.«

Mężowi zaczyna w uszach dzwonić. On wcale nie lubi pani J...

»Zaproponowała mi doskonałe kupno, sposobność jedyną.«

Gdyby nauka nie rozstrzygnęła stanowczo, że ta rzecz jest niepodobna, włosy męża najeżyłyby się na głowie. Sposobność jedyna! wy wiecie nieszczęśliwi małżonkowie, co to znaczy!

Gdy pierwszy ogień natarcia już wytrzymał, żona nie waha się już więcej; zaprzestaje czułych badań, delikatnych napomnień, odważa się raptem na wszystko, recytuje powieść i rozkłada swój garnitur kupiony świeżo... kolia, broszka, bransolety...

»Dwieście dwadzieścia reńskich, mój luby! prawdziwe kamienie, złoto najlepszej próby, wszystko warte z pięćset reńskich, prawie nowe, hrabina L... raz tylko miała na sobie. To prawie za wpół darmo, jakby darowane. Weźno w rękę, przypatrzno się co za robota, jakie światło w tych kamieniach, jaka emalia!«

Małżonek przełknięty widzi w samej rzeczy milion kolorów przed oczyma. Tym razem chuda świeczka »z pod słońca« za nadto jasno świeci. Ćmi mu się w oczach, szumi w uszach. Jeżeli odzyska mowę, to zawoła:

»Dwieście dwadzieścia reńskich... a z kądem ich weźmiemy!«

»Bądź spokojny« odpowiada żona z filuternym uśmiechem.

Niestety! myśli sobie w duchu małżonek. Jednakże nalega o wytłumaczenie tej tajemnicy, czyniąc arcymądrą uwagę, że ta rzecz przecież, ile mu się zdaje, obchodzi tak jego samego jak i żonę.

»A więc, mój drogi przyjacielu, kiedy ci już trzeba wszystko powiedzieć, od roku staram się oszczędzać. Odłożyłam już na stronę stopięćdziesiąt reńskich.«

»A toż jakim sposobem, wielki boże!«

»Co cię to obchodzi? Wszakże ci na niczem nie brakowało. Nie czyniłam krzywdy domowemu gospodarstwu. Bóg to jeden wie, ile mię to kosztowało oszczędności i pracy!«

Małżonek który w tej chwili przypomina sobie bardzo postne potrawy, przetarte do nitki suknie, znajduje iż znalazłoby się wiele do zarzucenia; lecz poprzestaje na jedynej uwadze, którą mniema być kapitalną, rozstrzygającą, i potrząsając głową.

»Od stu pięćdziesięciu do dwiestudwudziestu« powiada, »zdaje mi się, zachodzi różnica siedmdziesięciu.«

»Mój boże! nie turbuj się o to. Znajdę ja ich. Wiadziałam się dziś z jubilerem; odkupi odemnie moje stare klejnoty wyszłe z mody.«

»Twoje stare klejnoty! jakie klejnoty! ta nędzota! niedostaniesz za to i dwudziestu reńskich.«

»Dwudziestu reńskich! co? Dostanę dwadzieścia dukatów, mówię ci; a na dodatek będzie dla ciebie topazowa szpilka. Ty wiesz że się rozumiem na klejnotach, spuść się już na mnie.«

Niestety! trzykroć niestety! niema rady biedny człeczko! Spuść się na nią, a jeżeli przypadkiem podejrzenie, niegodziwe podejrzenie chciałoby się wciśnąć do ciebie, wypędź je, pozamykaj szczelnie wszystkie drzwiczki do twojego serca i głowy przed tym niegodziwcem. Gdyby się raz tam wkręcił, już po wszystkich twoich uludach, już byś nie miał w twym życiu ani chwili spokoju. Zresztą jakiż powód, od garnituru przeskoczyć na raz w zapędzie jednym susem aż do domniemywań w których chodzi o honor, o życie! A pfe! czyż się nie wstydzisz! miałbyś odgrywać śmieszny rolę mieszczańskiego Othella, a ten łańcuch miałby być dla ciebie chustką Desdemony? Biedna, kochana, niewinna żoneczka! Czyż to nie jest wielkie szczęście, że na tak małym ogranicza się twoja połowica? a gdyby jej przyszło do głowy mieć własny ekwipaż, coż? »Ekwipaż?«

Widzę jakęś się zapyrzył mój pocziwczu, policzki

ci nabrzmiały, nos zaczerwienił; na mnie tak oburzyłeś się. Tem lepiej. posłuszny to za dywersją.

Może w nocy bezsenność przeprowadzi roje widziadeł wokoło małżeńskiego łoża. Dobry małżonek wstanie cichuteńko i drżący pójdzie rozpatrzeć się w księdze wydatków. Szukać będzie, jakim to wreszcie cudem jego żona potrafiła oszczędzić sto pięćdziesiąt reńskich w przeciągu roku. Ależ w tej księdze miliony przeklętych cyfer odprawiają razem szabas, biją się ogonami i głowami, zaczepiają, gmatwają razem, tumaniąc oczy ciekawego szperacza. Co się tyczy rozmaitych rzeczy kupionych, tyle tam niedzoty; nici, bawelna, igły, wstążki, woda kolońska, jarzyny, listy, krzesła w teatrze, bóg wie co jeszcze! Sam szatan który musiał się do tego wmieszać, nie potrafiłby się w tem rozpatrzeć. Czy to mąż znać może cenę tych wszystkich artykułów? Czyli może być dokładnie zawiadomiony o podniesieniu się lub spadaniu ceny motka nici? A gdyby żona się obudzila? Na tę myśl gasi czempredzej świeczkę i wraca cały drżący wsunąć się cichaczem do łóżka.

Być może, że zpod rozmarzonych powiek widziało go, ale mu, broń boże, nie nic o tem ani pisać: biada mu!

Nazajutrz zrana czy pójdzie żądać od żony zdania sprawy z rachunków i wypowiedzieć jej niezręcznie obelżywe posądzenia?

Nasuszywszy sobie mózgu należycie, jeżeli mu się uda zdać sobie sprawę z rzeczywistej różnicy pomiędzy budżetem a expensą, nie zaszedł bardzo daleko: sto kilkadziesiąt reńskich odłożonych zostało na stronę; to dobrze! ale czy to na klejnoty? Przypomina sobie suknię jedwabną, mantylkę nowego fasonu, które również kupione zostały z oszczędzeń. Oh! oh!...

Raz ci jeszcze powtarzam, pokoj i cyt, pocziwy człecz!

Ponieważ klejnociki już w toalecie, niechajże sobie tam siedzą. Sprawa skończona. Już nie usłyszysz twej żony jak narzeka, niechce wyjść z tobą w niedzielę na przechadzkę, lub oddać niezbędne jakie wizyty pod tym doskonałym pretextem, że niema w co przyzwoicie się ubrać, że niema wziąć co na szyję. Już koniec temu wszystkiemu. Najdroższe jej życzenie spełnione, Już niczego nie żąda, niemasz czego się obawiać. Teraz odda się całkiem gospodarstwu.

Zawodne nadzieje; jeżeli, aby uczynić wyłom i wejść jako zwycięzca w domowe progi małżonków, klejnoty tyle narobiły niespokoju, tyle podejrzeń zbudziły, teraz gdy się już znajdują w samym sercu

twierdzy, potrafią, dalibóg, jeszcze coś gorszego uczynić.

Pocziwy mąż, położy rękę na sercu i sam rozważ czyli kobieta która szanuje siebie choć odrobinę i niechce na śmieszność wystawić się, może wdziać na głowę kapelusz niemodny i zbladły, ubrawszy się w prawdziwe kamienie i złote branzolety. A rękawiczki, botynki, kołnierzyk, szalik, mantylka, suknia? Czyż nie należy aby to wszystko było świeżuteńkie, przyzwoite, ostatniej mody i gustu, stosowne do klejnotów? Jestże roztropna chodzić tak ubranej po błocie i deszczu? Koniecznie trzeba fiakra; żona często potrzebuje wyjść... fiakier wiele kosztuje, zaledwie nie wypadłby taniej własny ekwipaż. A ty sam mój przyjacielu, przypatrzno się jaki masz paletot? Czyż to wypada, aby żona bogato ubrana prowadziła się pod rękę z mężem w tak wytartej sukni, i czyż nie potrzeba koniecznie aby ubiór dzieci nie czynił wstydu wystrojonej matce?

»Ah! drogi papo, gdybyś widział jak to młodzi panice przypatrują się mamie od czasu, jak mama tak pięknie ubrana!«

Żona rumieni się; mąż pożółkł.

Kobieta tak przemieniona, czyliż pójdzie odwiedzać swoje dawne znajome i przyjaciółki, które nie mają ani tak drogich klejnotów, ani tak pięknych ubiorów? Tak, bez wątpienia, jakiś czas jeszcze, aby się nacieszyć ich zawiścią. Ale ta rokosz za nado rychło traci powab nowości. Dalej meble okazały się nieodpowiadające godności przyjętej; materią na pokrycie odnawiać trzeba równie jak toaletę; za meblami idzie pomieszkanie, bo ciasne pomieszkanie to zguba mebli.

Żona zacznie wtedy potraćać męża (czy on literat, artysta lub w urzędzie) do produkcji nadmiaru. »Nie umiesz utorować sobie drogi« powtarzać mu będzie codziennie. »Patrz na tego lub owego. On dwa razy tyle ma dochodu co ty. Czy więcej posiada talentu, więcej dowcipu? Gdzie tam, daleko mniej, sto razy mniej od ciebie mój drogi, ty wiesz o tem dobrze; wszyscy twoi przyjaciele to mówią. Ale on umie się ruszać, chodzi, kłania się, przypomina, oddaje wizyty, komu należy. Kto o nie nie prosi, ten nie otrzymuje. Nikt ciebie sam szukać nie będzie. Piękna to rzecz skromność, lecz jeszcze nikogo nie nakarmiła. Z temi wszystkimi ślicznymi sentymentami wychodzimy na dudków, żyjemy nędznie, a sąsiedzi z nas drwią. Nikomu nieprzyjdzie do głowy użalić się nad tobą. Dla czegoż postępujesz inaczej jak drudzy?«

Mąż miał już zajęte wszystkie dnia godziny. Nie znacznie praca zabierze mu wieczory poświęcane spo-

czynkowi. W święty dzień niedzieli pozwalał sobie przechadзки z dziećmi, chodził do teatru, czytał jaką godzinę. Odtąd będzie pracował dla zysku aż do obiadu, później i wieczory poświęci zarobkowi, a gdy i to niewystarczy, lub gdy cierpliwości mu niestanie: wtedy usuwać będzie pomalu wszystkie skrupuły sumienia, które wymaga, abyśmy winni byli wszystko jedynie dziełom własnym, własnej zasłudze, własnej pracy; tej kardynalnej podstawie cnoty i... co dalej uczyni wiecie...

Tak radykalna rewolucja w tem skromnem pożyciu małżonków poczęła się więc od złotych świecidełek, a skończyła na bankructwie moralnem pocziwego przedtem męża. Czy sądzicie, że to rzecz przesadzona?

Przyjacielu czytelniku, jeżeli zdecydowałeś już popełnić to glu.... chciałem powiedzieć, ten krok arcyroz sądny i chcesz się ożenić, kupże zaraz przed ślubem piękny garnitur, włóż go ze czcią religijną pomiędzy podarunki ślubne, jak bogowie składali nadzieję w pudełko pięknej lecz zdradliwej Pandory. Może być że ta przysługa przyniesie ci szczęście. Na wszelki przypadek ominiesz przynajmniej choć jeden szkopał w pożyciu małżeńskim. Po wyrzeczeniu fatalnego: mam szczerą itd. znajdzie się i tak innych niebezpieczeństw podostatkami.

Nie wódz nas na pokuszenie.

(Z Gaudego.)

Co, ósma? zaraz przechodzić będzie,
Lecz ani spojrzę rękę, że nie,
Bo mogłby wreszcie rozgadać wszędzie:
Ona przy oknie stoi dla mnie.
Coż nie mówiłam?... oto nadchodzi
Idę.. zostanę... ale obrócona
Spuszczę franki... to go ugodzi
O już zapożno! już jestem zdradzona.

Czemuż on stanął, czemu tu rzucił
Wzrokiem przyćmionym tęsknoty żą?
Czemu ku niebu znowu go zwrócił?
Coż on rozumie tą niemą grą.
Niewiem... Jednakże mi się wydaje,
Jakby mą całą oczarował duszę...
Ledwie że znacznie kłaniać się zdaje
Trza podziękować... wszak grzeczną być muszę.

Cożto bilecik przed sobą widzę?
A to natrętnik... gniewam się już...
Oddam go mamie. (kiedy się wstydę)
Spalę zamknięty .. podrę w szersz w zdłuż...
Zaraz... ach pieczęć pęka dla boga...
Taki to zwykły fatalizm mój dzienny!
Lecz któż optakiem... »zostaje drogą
Listy zamyka »do grobu niezmiennych

Że pieczęć tylko mnie zniewoliła,
O jakież na to dowody dam
Teraz już jedno, czym podpis odkryła
Czy cały przejrzyć bilecik mam...

»Jutro... o ósmej... przy panien klasztorze«
A to jak na złość, że właśnie bez mamy
Do cioci pójdę jutro o tej porze...
Jednakże rękę, że się nie spotkamy.

Ludwik Buzyna.

ONA BYŁA NIEWINNA.

POWIASTKA

przez

WŁADYSŁAWA ZAWADZKIEGO.

III.

(Ciąg dalszy.)

Coraz to ciemniej i straszniej iść było. Stępowali z góry, ścieżką wąską, pod tak gęstymi sklepieniami gałęzi, że noc ponura i ciemna otoczyła ich. Deszcz rzadkimi lecz dużymi kroplami znowu zaczynał padać. Błyskawice coraz dłuższe i okropniejsze oświecały im drogę. Ścieżka kręta i spadzista zapuszczała się w coraz straszniejsze gąszcze. Ledwie iść mogli. Pod nogami rozstępowało się sliskie błoto i kalczyły sterczące kamienie. Podmuchał wiatru dziki, okropny buchał pełnymi falami, zrywał odzienie, zasypywał deszczem, z nóg walił. Amelia cała drżąc zimnem i obawą zwiesiła się na ramię Bolesława. On ją orzucił szerokim płaszczem swoim, Coraz bardziej osłabioną tulił do siebie, niósł prawie. Biedna! cała wysiłona odchodziła prawie od przytomności, ostatnich sił dobywała, niewidziała gdzie jest i co się z nią dzieje. Deszcz przemoczył wszystkie odzienie, wiatr przeziębził i zatrzęsał całym ciałem. Lecz ciemno było; Bolesław nie mógł widzieć wszystkiej badości i boleści lica. Tylko skostniałe od zimna ręce cisnął i tulił do piersi, tylko drżącą okrywał i niósł. Wycie wilka zmieszało się z wyciem burzy. Roje widm nocnych snuły się po borach. To był ślubny początek Amelii, to muzyka weselna. To była rzeczywistość wysniona, wywalczona, zdaleka promieniejąca czarujacemi barwami.. dzika, okropna jak śmierć. To pierwsza scena długiego dramatu życia, co ma przejść przez wszystkie tony zwikłania, coraz straszniejsze i nielitościwsze, wszystkimi tonami wzruszeń przewichrzy po duszach, niszczyć będzie uczucie po uczuciu, myśl po myśli odzierać z wiosennej zieloności, trząść słabym kwiatem życia, aż się rozwiąże.. śmiercią czy radością?... Kto dziś przewidzi i wywieszczy?... kto wie ile tam sił w tem wątem ciebie Amelii, wzwyczajonem do kwiecia i puchu, ile bohatyrskiego uczucia w tym duchu, że nieulekłe staje do walki z burzą i ciemnością, niewzwyczajoną nogą puszcza się w tę drogę życia, grożącą zniszczeniem i rozpaczą, której nie zna, której wszystkich okropności przeczuwać nie

może, a którą przyjdzie jej przenieść samej, barkami ogolconemi z obcej pomocy, myślą bez podpory, skronią bez błogostawieństwa, sercem bez obcego spółczucia.

Przemokli i wysileni zeszli wreście z góry. Blyskawica pokazała im parę chat wioski. W najbliższej czekało na nich światło. Tam weszli. Przyjął ich sługa, którego naprzód wysłali i gospodyni chaty. Z roskoszą patrzała pocziwa kobieta po chacie swojej, która jeszcze nigdy tak piękna nie była. Czysto wymieciona. Na tapczanie siennik świeżą słomą wypchany, orzucony kobiercem i skórzana poduszka, pysznie przyozdabiały małą izbę, oświeconą prostym kagankiem. Jedwabie i muśliny bogate z łoża Amelii, złote nalewki, kandelabry i zwierciadła, krzyształowe flakony jej gotowalni zostały w mieście. Garść świeżej słomy, to dzisiaj posłanie ślubnego jej łoża a muśliny pajęczych sieci kotarą.

Stanęli w izbie. Bolesław pojrzał na Amelię i zdrzał z przerażenia. Błada, jakgdyby śmierć już pila krwi resztki z wapiennego lica, pokurezonego zmarszczkami, z okiem bezwładnem, w półprzymknięciem, skostniała, drżąca i przemokła, wisiała ciężka na jego ramieniu. Nie było owej pulchnej okrągłości zarysów, co do pieszczot nęciła, zbladł ust koral, rumieńce twarzy, co o całunkach marzyły. Tylko zatrwająca, nielitośna choroba, znać było jak już widocznie wdaria się w młode ciało, niszczyła i rozrywała siły, przywarła omglone powieki. Co prędzej przebrano Amelię, owinięto w ciepłe suknie i nieczułą prawie ułożono na wysłanym tapczanie, do snu o pieszczotach, o pierwszym szczęściu. Północ już blisko. Czas było odpocząć do nowych trudów jutrzejszych. Ale Bolesławowi spoczynek nie na myśli. Sam został przy Amelii w izbie. Ukląkł przy jej tapczanie, oko pełne niespokoju, tęskne, gorejące, całe spragnione jej zdrowia i szczęścia, wlepił w twarz pięknej oblubienicy swojej. To noc pierwszych pieszczot małżeńskich, pierwsze roskosze, piękny wstęp życia, gorejący, pieszczony... wysniony tęsknem, w półmgli stem dziewicy marzeniem, żądzami młodzieńca prze cudnie pomalowany, bogaty wszystkiemi ogniami dziewicznych uniesień obojga, wykarmiony długich lat na dziejami... i Bolesław w dłoni swej trzyma ręce Amelii, bogate dla niego przechowanemi pieszczoty, czoło swoje tuż nad jej twarz pochylił, zdaje się że obie skronie jednym żyją krwi uderzeniem... a przecież smutno mu. Nie takie marzył roskosze, nie takie gotował szczęście dla swojej Amelii. Wiatr dął się i huczał coraz mocniej trząsł oknem i drzwiami chaty i przez szpary wciskał się do izby. Kaganek ledwie trochę

światła rzucił czasami, i znowu przygał. I w półcieniu tej strasznej nocy wyteżone oko Bolesława, chwyciło wszystkie rysy twarzy Amelii, wypatrywało łakomie wszystkich odmian jej lica. Powoli ciepłe nakrycie i ciepłe powietrze chaty zaczęło rozgrzewać, krew jej skrzeplą zimnem i znużeniem. Żyły zaczęły bić mocniej, piersi podnosiły się nierównym, coraz żywszym, coraz gorętszym oddechem, lica poczerwieniały, z początku słabym, potem coraz widoczniejszym, gorejącym rumieńcem. Przez oddziaływanie, krew zlodowaciała, to życie zdeptane odezwało się rozigrane, szalone. Gorączka ognista buchnęła wszystkiemi żyłami, uderzyła do głowy, paliła. Półsen męczący, ciężki, przywarł powieki, zawirował po mózgu, zmieszał w bezład tysiące krążących, niewyraźnych obrazów. Z ust wpółotwartych, spalonych, wymykały się słowa nie częste, ale rwane, bez znaczenia i związku, jakby jęk, wszystkie ledwie wymówione, bolejące. Znać że bardzo cierpiała Amelia. Zdało się jakby wszystkiego pamięć straciła, i Bolesława, co nad nią czuwał całem wyteżeniem kochającej duszy, i tego pięknego szczęścia, co sobie wysniła na tle przyszłości, do której biegła. Nic... nic z tego nie było w tej chwili pomiędzy wirującymi obrazkami gorączkowej fantazji, tylko jakieś męczące, bolesne, poczucie winy, rwało się z duszy słowem ciężkiem jak młot dla Bolesława... Jakaś rozpacz samotnicy rzuconej na burzę... Dusza długo wyteżona nadzieją, silną wolą wsparta, osłabła i w chwili nie swego życia, nieprzytomności i gorączki, rozboleła, rozplakała się i wywnętrzała rozpacznie. I Bolesław ze łzami, z rozpaczą całował ręce, co dziwną sprzecznością choroby same jedne zostały zimne, ogniami ust własnych radby je rozgrzać, rozbudzić kochankę ze snów bolesnych, uspokoić, upewnić. Napróżno.. kochane ręce, pieszczot w zamian nie wracają, usta zapomniały całunków. Straszna, śmiertelna gorączka nie zważa na boleści i niespokojów. Coraz to silniejszym, nielitościwszym ogniem płynie we wszystkie żyły, rozsada skronie, skwarnym oddechem przepala i targa płuca, suszy usta sine jak węgiel. O! to nie gorączka roskoszy, co lubością podniesie piersi dziewczęce, wdziękami pierwszych uścisków zagra po młodem uczuciu, wstrząśnie wszystkiemi nerwami serca... i falami krwi młodej, gdy poszaleje po żyłach, to całe ciało wykarmi, wypręży nowem życiem, świeżością... i skronie owieje półsnem jakimś roskosznym, i płuca pełnym oddechem ożywi, i myśli rozkwieci, a każdy nerw drga siłą i zdrowiem a całe życie duszy i ciała takie zgodne, pełne, swobodne. Nie... to gorączka choroby, wysłannik śmierci

w ślubnej łożnicy, w gorętsze usciski, do pieaszczot zjadliwszych niż ognie roskoszy objął młodą oblubienicę. jednym całunkiem swoim więcej przepalił usta niż lata pieaszczot, oddechem zapalił jad w jej wnętrznościach, roztrząsł zgodę sił żywotnych, rozłagał płuca, pali ciało ogniami lawy buchającej po żyłach. I nie pomogą Bolesława łzy ni rozpacz. Jego ramieniu nie zastąpić takich pieaszczot, nie odepchnąć rywala. Znikąd pomocy. Nowe tylko trudy przed nimi. Znikąd zdrowia, spokoju.

Naraz wśród huku burzy, zdawało mu się że słyszy jakiś szum obcy, daleki i niewyraźny. Niespokojny zaczął słuchać lepiej. Głosy coraz bliższe kiedy niekiedy przebijały burzę. Czasem krzyk głośniejszy od wiatru... nawoływania. To nie był głos zbłąkanego podróżnego, to krzyk tłumu całego coraz bliższy i donośniejszy. Zerwał się Bolesław i podbiegł do okienka chaty. Na drodze nie zbyt daleko, obaczył blask wielki czerwony, jak gorejąca luna. To światło kilkunastu smolnych kagańców, owinięte czarnymi kłębami dymu. Wiatr igrał z nimi na wszystkie strony. To przytłumiał silniejszym podmuchem, to znowu rozżarzał jaśniej, okropniej. Jak żywy, ruchomy pożar paliły się tak mocno, że deszcz je nie zalewał, burza zgasić nie mogła. W mgnieniu oka Bolesław zobaczył i pojął wszystko. To goście jego weselni szli aby mu wydrzeć szczęście, wytęsknione walkami bez końca, ażeby mu stargać najpiękniejszy kwiat życia, co wypieszczony powietrzem duszy, miał się rozwijać tak pięknie, tęczo. I takiż prędko, taki okropny koniec tego dramatu, co ledwie zaczęty, tak bogaty marzeniem i nadzieją, miał owinąć im wspólne życie przemienną wstęgą scen swoich cudownych, pełnych roskoszy. Gdzież owe dni pełne zachwyty, i uniesień, gdzie walki wzniosłe, poświęcenia, uczucia?... Już go dogнали, już idą i wszystko nierozwinięte, zdeptane, przemknęło; chorobą, rozpaczą wynagrodzone, oplwane hańbą i pośmiewiskiem.

»Tędy... tędy... kagańce!.. gdzie?...« dochodziły głosy wśród szumu burzy.

Tuż koło chaty zaświeciły kagańce. Zmieszana wrzawa dolatywała do izby.

»Wywalić drzwi!... Hej! drzwi wybić!« wołał ktoś rozkazująco, a Bolesław poznał głos hrabiego Ernesta.

Jak lew szalony rozpaczą i zemstą rzucił się do pistoletów leżących przy łożu Amelii. Chwycił w obie ręce i do drzwi wymierzył. A drzwi zamknięte pękały już wywalane ze dworu. Nagle jakby łoskotem szturmujących obudzona do przytomności Amelia, zerwała się jakby okropność położenia sił jej i życia

do obrony kochanka dodała, jakby własnym życiem jego życie zasłonić chciała, na pierś mu upadła... Słaba, jedną ręką przewiesiła mu się przez szyję, drugą ku drzwiom wyciągnęła, jakby tarczą anielskiej dłoni chciała odwrócić śmierć, co ma wejść tamtędy... Naraz drzwi wyłamane z trzaskiem wypadły. Raptowny podmuch burzy wyrwał przeciwległe okno, zgasił kaganek i z wściekłym hukiem aż całym domem zatrzęsł. W tej samej chwili zahuczały z obu stron strzały pistoletowe. Głośniejszy nad nie jęk Amelii rozdarł powietrze... bolesny, przerażający... i wnet zgłuszyła go burza, co ciemna i straszna, coraz okropniejsza wyła po lasach.

(Dokończenie nastąpi.)

TEATR.

W przedstawionej po dwakroć na scenie tutejszej krotchwili »Studenci« odmalowano stosunki ściśle miejscowe. Wielka była odwaga autora przy braku życia towarzyskiego u nas chcieć utworzyć krotchwilę miejscową. Zaledwie dwie lub trzy stolice europejskie mogą poszczycić się tym rodzajem dramatycznym. Łatwiej rozwinię się komedia lub dramat w których odbite narodowe lub powszechne życie, niż krotchwila miejscowa. Zwykle stosunki i właściwości miejscowe są tak drobiazgowo, tak prozaiczne, że trudno z tego wyrobić niedrobiazgowo i nieprozaiczne charaktery, sytuacje komiczne. Potrzeba czynnego, powszechnego i w jednym miejscu skoncentrowanego życia w narodzie aby stworzyć typy indywidualne lub właściwości odrębne całych klas społeczeństwa: a to są jedyne stosowne materiały do tego rodzaju prac dramatycznych. Jeżeli więc kto zamierza wśród nieprzyjaznych i ubogich w tym względzie okoliczności wprowadzić miejscowe życie na scenę, niechże przynajmniej bierze z tego życia te pojawy i stosunki które mają ważność większą, i mogą być podstawą charakterów, niech bierze ludzi całokształtów, a nie połowicznych: dzieci. Coza charakter nadasz chłopięciu, którego własnością jest iż nie wyrobiło jeszcze żadnego charakteru. Dopiero wiek dalszy i późniejsze czynne życie w społeczności nadaje mu piętno odrębne, i wtedy dopiero wprowadzić go możesz na scenę. Można wprowadzić i chłopca dla urozmaicenia komedii wprowadzić na chwilę, lecz wtedy wystąpić powinien w właściwym jego wiekowi usposobieniu. Ależ całej sztuki niepodobna złożyć z takich dziecinnych komiczności, boby to była krotchwila dla dzieci. A przecież patrzyłbym z wię-

szem upodobaniem na taką dziecinną sztuczkę, niż na chłopię, odgrywające uczucia i czyny mężczyzny. Byłoby to podrzyśnianie obrzydliwe. I w krotcech wili »Student« stosowniejsza jest pustota dziecinna Kazia z orzechami i łańcuszkiem, dziecinnie komiczne uczenie się kilku razem studentów itp., niż romanse i szare godzinki chłopięcia, któremu potrzeba różgi dyrektorskiej. Pierwsze choć drobne i nie bardzo komiczne nie obraża przynajmniej uczucia ludzkiego; drugie jako poskoki cielątka, które odgrywać chce rolę wółu, jest obrzydliwie niemoralne. Być może iż w życiu zdarzają się takie anomalie, lecz co jest w życiu odrażające, to przeniesione żywcem na scenę nie zmieni swej natury. A autor żywcem całą prozę życia przeniósł na teatr. Z żadnej sceny, z żadnej postaci nie wydobędziesz iskry poezji, wyjąwszy może biedną pasierbicę, odmalowaną od niechcenia kilku słowami. A proza ta staje się tym powszedniejsza im częściej koncepta powtarzają się. Nijakie śpiewki o studentach, co kilka słów to o loikach wspomnienie, aluzja do szarych godzinek ciągła, nieustanne »świat się poleruje« itp., psują nawet wrażenie wpływające z komicznych nieraz sytuacji. Jedno osobliwie położenie jest w wyższym rodzaju komiczne: sentymentalne wzlatywanie, improwizacja poetyczna córki obok matki narzekającej iż niema co jeść dać domownikom.

Następstwo scen, i działanie w akcie każdym jest dosyć obrazowe a osobliwie w drugim; lecz budowa całej sztuki powiązana jedynie następstwem czasu. W pierwszym akcie ojciec oddaje synka do szkół, w drugim syn rozhulał się, a w trzecim ojciec przybywa i przywodzi go do opamiętania. O stosowności lub niestosowności charakterów czyli niecharakterów daremna rozводить się, gdzie pierwsze elementa sztuki dramatycznej przypominać trzeba.

Utrzymując kronikę wszelkich nowości teatralnych wypada wspomnieć o krotce wili przełożonej z francuskiego »Zapusty czyli tydzień szaleństwa.« W rozbiór sztuki niema co wchodzić. Gniewać jedynie mogą owe szumne napisy, nieodpowiadające bynajmniej treści. Lecz nasza publiczność jest cierpliwym barankiem, któremu rok w rok można puścić kilkanaście takich figielków.

Dwie nowe sztuki ujrzymy znowu na scenie: jutro na dochód jp. Nowakowskiego »Córka zbrodniarza« w pięciu aktach przez Aniceta *Bourgeois*; a 21 lutego na dochód jp. Smochowskiego dramat w pięciu aktach z francuskiego »Bracia rzemieślnicy« w którym odmalowane życie obecne stanów niższych społeczeństwa.

Rozmaitość.

Raczyński marszałek rady nieustającej, który z szlachcica nieprawem drogami przyszedł do wysokich stopni i posiadał wszystko prócz szacunku, wystawił piękny pałac w Warszawie i dał napis nad bramą: »Pałac Raczyńskich.« Nie było w Warszawie zwyczaju dawania takich napisów; ktoś w nocy wypisał na ścianie:

Pierwszy pałac imieniowi
Pierwsze imię pałacowi.

Rozgniewany Raczyński zmasał słowo pałac a wyrzeźbił: »Dom Raczyńskich.« I tak domy nazywać nie było w zwyczaju; tylko na domu poprawy był napis oznaczający jego przeznaczenie. Znowu więc znaleziono wypisane na murze pałacu Raczyńskiego:

Dwa domy zdobią mury Warszawy,
Raczyńskich dom zepsucia, drugi dom poprawy.

Wlat kilka, gdy zabrukał się pałac i po wierzchu, Raczyński kazał go pomalować czerwoniawo, i napis dać po francuzku: »*Maison Raczyński*.« I tym razem ktoś napisał: »*La Maison Raczyński a rouge pour la première fois*.« (Dom Raczyńskich zarumienił się po raz pierwszy.)

Prócz wymyślnie zastawionego królewskiego stołu, do którego Stanisław August znakomitsze osoby, uczonych i cudzoziemców zapraszał, był jeszcze drugi stół u marszałka nadwornego. Nietylko osoby do królewskiego dworu należące, i przez marszałka zaproszone należały do tego stołu, ale każdy wojskowy wyższego stopnia, każdy szlachcie, byle znany, mógł nie czekając zaproszenia przyjść do marszałkowskiego stołu i być pewnym jak smacznego obiadu tak dobrego przyjęcia, bo tym sposobem prócz innych starano się zwabić stronników tak zwanej partii królewskiej. Byli nawet posłowie sejmowi którzy się nie wstydzili na marszałkowskie obiady uczęszczać, co im bardzo za złe w publiczności miano, i ztąd ich nazywano królewskimi pieczeniarczami. Alexandrowicz marszałek nadworny umarł właśnie w czasie, kiedy po wydanej przez carową Katarzynę w r. 1792 wojnie, wszystkie dzwony w Warszawie były zabrane dla przelania na działa. Napisano Alexandrowiczowi taki nagrobek:

Spiz mleczy po twym zgonie, bo stał się już bronią;
Ci co jedli pieczenia niech zębami dzwonią.

Jan III. wszedłszy do pokoju żony, zastał iż kazała z siebie pokutującą Magdalene malować, i powiedział jej:

Z rozpuszczonemi włosy i szyją wyzuta,
Podobnas Magdalene grzechem, nie pokutą.